ROZMAITOŚCI.

Dnia 26 czerwca, Ner 26. roku 1847.

PANNA POSTĘPOWA.
OPOWIADANIE
PRZEZ
JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.*)

There are more things in heaven and earth, Horatio, Than are dreamt of in your Philosophy. *Hamlet.*

Z téj strony Chełma, postrzega podróżny na lewo obszerną dolinę zarzuconą wioskami, których ogrody i dwory okazują jeszcze podolską i wołyńską zamożność. Jak tylko oko sięga, widać tam pokrzyżowane drogi, po większéj części wysadzone drzewami, tu i owdzie wysokie i białe kościołki, wieńcem starożytnych lip otoczone, a na polach wszędzie staranną uprawę, żywszą wegetacyję, liczne trzody bydła i owiec, i gdzieniegdzie przesuwający się powóz, który dzielna czwórka od jednego dworu do drugiego przenosi. Okolica-to gościnna, obfitująca w dorodne panny, co jak dokwitające róże pochylają zamyślone główki, przeczuwając ową chwilę, w któréj ręka śmiała je zerwie i do wieńca społecznego życia zaplącze.

W jednym z najokazalszych dworów téj pięknéj doliny, mieszkała rodzina złożona z ojca, matki i córki jedynaczki. Major S* dawny wojskowy, bez wielkiéj nauki, z wychowaniem nie wykwintném, ale z rozsądkiem i dobrém sercem, był owym zwyczajnym obywatelem, jakich mamy jeszcze po wsiach, i jakich liczba, nie powiém że z dobrem rodzin i kraju, coraz się umniejsza. Prowadził on gospodarstwo z akuratnością szwadronową; polował chętnie, marząc na stanowiskach o młodych latach, które mu przeszły na placówkach i wedetach; lubił czasem puścić się w opowiadanie dawnych czasów w gronie przyjaciół i z kieliszkiem w ręku; od kart nie stronił, ale dobrą polską książkę, dobrą dykteryjkę, przenosił nad wszelką zabawę. Pani S* byłato tak nazwana prosta i dobra kobiéta, co u nas w dziwném wykręceniu wyrazów, w dziwniejszém jeszcze rozbiciu głów naszych na różnych kopytach, jest prawie ubliżającym epitetem. Wprawdzie nie lubiła ona mówić po francuzku, nie ubiérała się modnie, nie wprowadziła do domu wieczornych obiadów, płukania ust w ciemno-błękitnych szlaneczkach; nie robiła ze swojéj sali labiryntu mebli, i nie kazała sobie na wsi anonsować przybywających gości; ale miała niewyczerpaną uprzejmość dla wszystkich, kochała męża, obchodziła się po macierzyńsku ze sługami, i co oszczędziła czasu nie czytając francuzkich romansów, to łożyła na gospodarstwo; co zostało z wydatków przez nieprzepłacanie wykwintnych strojów, to szło na obfite, przystojne i staropolskie uczęstowanie przybywających w dom jéj sąsiadów. Z tych kilku rysów łatwo czytelnicy wniosą, że dom taki miał przyjaciół, że gościnność tak szczéra, tak niezmordowana, tak wylana, napełniała go często liczném gronem, tém bardziéj, że pod tym dachem, gdzie każdego czekało serdeczne powitanie, rozwijał się i jaśniał kwiat pełen powabu i nadziei. Byłato owa córka jedynaczka, dwudziestoletnia panna, obdarzona od natury śliczném ciałem, okiem dużém, błękitném, pełném wyrazu, uśmiéchem cudnym, chociaż najczęściéj ironicznym i wzgardliwym, głosem dźwięcznym, który objawiał serce pełne mocy i postanowienia Ciemne jéj włosy, lśniły się silnym kasztanowym refleksem na czole białém i gładkiém, z którego jaśniał rozum i wybijała myśl męzka i energiczna. Nosiła zwykle długie loki, których cień padał na jéj szyję nadzwyczajnéj białości, i z któremi ręka jéj foremna, przy słuchaniu mówiących, zwykle igrała. Wysoka, giętka, nadawała ciału swemu powabne pozy w staniu i siedzeniu; szczególniéj umiała chodzić z gracyją, co rzadko umieją kobiéty. Taką była p. Salomea S*: która do téj piękności tak głośnéj, tak powszechnie uwielbianéj, żadnéj nie przywiązywała ceny, i przez ten brak próżności, wcale nieudany, tém się niebezpieczniejszą stawała.

Rodzice z miłością i podziwieniem patrzyli na to cudowne stworzenie. Ojciec rozważał, rozmyślał, komuby skarb taki oddać; matka w poddaniu się religijném, klęcząc i modląc się prosiła Boga, aby przyprowadził do domu dobrego człowieka, w którego ręce złożyłaby nadzieję i cel swego życia. Ale i ojciec i matka postrzegali z trwogą, że w głowie

*) Z Biblijoteki Warszawskiéj.

p. Salomei zagnieździły się myśli, które mogły ich plan zniweczyć i nawet modły dobréj kobiety zrobić nieskutecznémi. P. Salomea była filozofka, która w nic prawie nie wierzyła, tylko w sylogizm; była owa dzisiejsza filantropka, któréj się zdawało, że w ewangelii jest nejłka, i że miłość bliźniego inaczéj, niż tam wypisano, rozumiéć należy; byłato śmiała argumentatorka, która nawet w tém żądała postępu, co nie należy do ziemi, co nie jest wyrobem rozumu. Słowem, byłto prześliczny potworek, który najstosowniéj panną postępową nazwać można. Wprawdzie chodziła ona do kościoła, czytała na książeczce ładnie oprawnéj; ale jéj dusza zapomniała szczeréj, dawniejszéj modlitwy. Nie byłato już bowiem owa śliczna i marząca Salunia, która nieraz po godzinie całej klęczała w swoim pokoiku, białe rączki złożone trzymała przed koralowémi ustami, i oczy błękitne, uperlone łzą poetyczną, wlepiała w obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj Byłato dumna rozumem p. Salomea, mająca pełną głowę argumentów przeciw wszelkim przesądom, wszelkiéj wierze w związek nasz ze światem zazmysłowym, śmiejąca się z wszelkiego cudu, z każdego zjawienia, którego wyrozumować nie mogła. Admirowała ona wprawdzie wielkość stworzenia, rozprawiała nawet o Bogu; ale w zadziwiającym ruchu światów pojmowała tylko siłę ciężkości, a na niebie, rozjaśnioném milijonami słońc, widziała tylko iskry elektryczne. Ta przesadzona ufność w rozum, odjęła jéj sercu poezyją religii, i zmniejszyła nawet jéj cześć i wiarę w rodziców, co jest drugą religiją na ziemi. Gdzie umysł jéj nabrał tego kierunku, wyszczególniać nie będę. Czytelnicy, znający historyją omackowych wędrówek głów naszych, łatwo się domyślą. Powiém tylko, że przez rok cały nie była w domu, i wróciła tam z nowémi myślami, z sercem zupełnie odpoetyzowaném. Wszystko też wydało się jéj nie takiém, jakiem było wówczas, kiedy ukończywszy pensyją, pod dach rodzicielski weszła. Ojciec teraz tłumaczył się jakoś nielogicznie; matka nie zdawała sobie sprawy z miłości swéj dla męża i córki; słudzy bez żadnéj podstawy kochali swoich panów, których, według ścisłego wyrozumowania, powinni byli nienawidzieć. Pierwszego kawalera, który jéj oświadczył swoje uczucia, zapytała: dlaczego pan mię kochasz? jaką masz zasadę? Objawiła rodzicom pół żartem, pół seryjo, aby jéj nie narzucali nikogo, aby sobie nad tém bynajmniéj nie łamali głowy, gdyż minęły te czasy, kiedy ojciec i matka mogli wiedziéć, co do szczęścia ich córek potrzebne; że ona sama sobie wybierze wyższą inteligencyje, co z jéj własnego stanowiska spojrzy na teraźniejszy stan rzeczy, i na ten ważny fakt życia, osnuty jeszcze w dawniejsze przesądy Ojciec żartował sobie z tego rozumowania, ale matka skrycie płakała. A chociaż szczęściem, p. Salomea nie miała sposobności poprzéć czynem swoich oświadczeń, ale rozumek jéj był gotów do buntu, i leżał w nim zgromadzony cały arsenał argumentów, które w razie potrzeby, do stanowczego oporu posłużyć jéj miały.

Jednego razu, na początku czerwca, stała panna Salomea w otwartém oknie, i chciała sobie zdać sprawę z tego szczęścia, z téj radości, z tego że tak powiém zdrowia duszy, które czuła w swém łonie na widok okrążającéj ją natury. Okno to wychodziło na dziedziniec obszerny, usłany murawą, na którego środku stało kilka lip starożytnych, obsypanych kwiatem. Z lewéj strony widać było gazony, kwieciste bukiety i klomby pięknego ogrodu, który się daleko rozciągał. W środku sztachetów, oddzielających ogród od dziedzińca, stał niewielki murowany kościołek z wychodzącą naprzód wystawą. Wprost przed oknami na drugiém podwórzu, szły budynki gospodarskie i stajnie majora. Na prawo była brama wjazdowa, ubrana prześlicznémi topolami, a wychyliwszy się cokolwiek z okna, można było widziéć drogę széroką, równą, ciągnącą się przez wieś; daléj groblę z huczącémi młynami i wielkie źwierciadło wody, nad którą stały wierzby i młode topole. Świéżość ranku, ciepło ożywiające lata, czyste jak szafir niebo, śliczna, zielona, pełna darów bożych ziemia, wciskały gwałtownie w jéj serce fale szczęścia, które p Salomea powoli przez filozoficzne dlaczego, jakby przez śluzę jaką wpuszczała. Wszakże wrażenia, które odbiérała, były silniejsze od tej nienaturalnéj zapory, i już ją rozerwać miały, bo p. Salomea czuła, że się jéj łzy zakręcają w oczach, gdy weszła matka blada, strwożona i zapłakana.

— Co to mamie? zapytała córka całując ją w rękę.

— Ach! moja Saluniu! odpowiedziała pani S*, jeszcze drzę na wspomnienie snu, który mię zdręczył nad ranem. — Uśmiéchnęła się p. Salomea; co widząc matka, dodała: Uśmiéchasz się moje dziécię! Postrzegam ja to z żalem od niejakiego czasu, że ty w nic nie wierzysz.

— W sny nie wierzę, moja mamo, jak nie wierzę w strachy. Ale cóżto się mamie śniło? niech mama powié, to ja mamie wytłumaczę, co znaczy ten sen, i dla czego go mama miała.

— Źle to moje dziécię, że zaraz sobie wszystko chcesz wytłumaczyć, i to twoje nieszczęśliwe dlaczego często mię trapi.

— Czyż na to mamy rozum, aby go nie używać? Cóżby można powiedziéć o człowieku, gdyby oczy, które mu dano do patrzenia zamknął, i tak chodził omackiem?

— Nie chcę ja z tobą rezonować, boś ty rozumniejsza ode mnie, odpowiedziała matka smutno,

ale to wiém, że teraz ze strachem zasypiać będę, bojąc się snów nowych. O ciebie w nich idzie moja Saluniu, i nie dziw się, że mię widzisz strwożoną i zapłakaną.

— Cóż tedy mamie się śniło? niechno mama powié! — Pytanie to było skutkiem dobrego serca p. Salomei; wiedziała ona, że to matce ulży, gdy się wygada.

— Śniło mi się, moje życie, rzekła pani S*, żem chodziła z tobą po łące, gdzie było mnóstwo najpiękniejszych kwiatów. Tyś je zrywała, ale wprzód nim miałaś się niémi ozdobić i ucieszyć się ich wonią i barwą, odginałaś listki i szpilką szukałaś tam czegoś we środku. Zrobiłam ci uwagę, że tym sposobem psujesz tylko kwiatki, któremi Bóg tak cudnie ubrał łąkę. Ty wtenczas uśmiéchnęłaś się tak, jak teraz się uśmiéchasz. Mnie to obraziło, a raczéj zasmuciło: zadrżałam w głębi duszy, nie wiém dla czego, i zdobywszy się na odwagę zaczęłam ci mówić dużo i głośno, ale już teraz nie pamiętam o czém. To tylko wiém, że słowa moje płynęły bystro jak fala, a w sercu i w głowie zawsze było pełno, chociaż wylewały się potokiem. Widać jednak, żem musiała coś niedorzeczy powiedzieć, boś ty parsknęła ze śmiéchu.

— Ach! moja mamo! zawołała p. Salomea zmieszana i zawstydzona.

— Ale zaledwie rozległ się odgłos twego śmiéchu, gdy go odbiło jakieś szydercze echo; z ziemi gdzieśmy stały, podniosła się zjadliwa i gęsta para; okrążyła cię, objęła, osłoniła — znikłaś mi z oczu. Gdym zaczęła krzyczéć, wołać cię po imieniu, wyciągać do ciebie ręce, biedz za tobą, nogi moje były splątane, głos tłumił się w piersiach, tylko łzy płynęły swobodnie — i tak obudziłam się spłakana. Saluniu droga! jutro sobota, pójdźmy obie do spowiedzi, dodała matka tuląc w objęciu ukochaną córkę, i płacząc rzewnie.

— Niechno mama będzie łaskawa siądzie, rzekła p. Salomea, całując jéj ręce. — Usiadły więc obie w otwartém oknie, a córka filozofka, z smutném okiem, z uśmiéchem na prześlicznych ustach, tak mówiła do matki strwożonéj i zapłakanéj: Teoryja snów, moja mamo, i wszystkich naszych przywidzeń jest następująca. W głowie naszéj jest warsztat, w którym każda władza, jaką obdarzeni jesteśmy wykonywa swoję funkcyją. Czeladź ta póty wszystko robi sfornie i w porządku, póki dozorca tego warsztatu, rozsądek, czuwa i szykuje właściwie rezultata ich pracy. Dlategoto moja mamo, kiedy człowiek pijany bredzi, to znaczy, że wyziewy trunku afektują za silnie rozsądek, odbiérają mu działalność i pozwalają bujać imaginacyi i pamięci. To samo się dzieje w gorączce, to samo w pomieszaniu zmysłów. W tym ostatnim stanie nie imaginacyja słabnie, nie pamięć; owszem, są one niezmiernie silne i w ciągłym ruchu, ale niéma regulatora, któryby obrazy w nich złożone i na nowo cisnące się uszykował, i każdy z nich w następstwie logiczném umieścił. — Ze spuszczoną głową, ze splecionemi na kolanach rękami słuchała matka téj analizy, a p. Salomea odchrząknąwszy tak daléj mówiła: Otoż widzi mama, sen jest nie tylko odpoczynkiem ciała, ale i odpoczynkiem głowy i zatrzymaniem całego w niéj warsztatu myślenia. Póki czuwamy, rozsądek ciągle krząta się i pracuje, dla tego też najwięcéj znużony, najpiérwéj ustaje i spoczywa; późniéj pamięć, a na końcu dopiéro imaginacyja, władza najsprężystsza, najrzeźwiejsza ze wszystkich. Przy obudzeniu ona znowu najpiérwéj się zrywa i swawoli, póki nie ocknie się rozsądek i nie przyprowadzi jéj do porządku. Ztądto, moja mamo, sny przychodzą nam tylko przy zasypianiu i przy ocknieniu; ztąd one nie są niczém inném, jak niesforném i nielogiczném powtórzeniem i zmieszaniem obrazów, które już były w głowie; ztąd wszystkie wizyje zdarzają się tylko w takim stanie pół snu, pół czuwania, lub po gwałtownéḿ jakiém wysileniu uwagi i nadzwyczajném znużeniu rozsądzającéj w nas władzy. Widzi tedy mama, czy można do snów i przywidzeń przywiązywać jaką wagę, jakie znaczenie, kiedy one są wypadkiem naturalnym naszéj organizacyi? kiedy tak po prostu wytłumaczyć się dają? Cudów niéma moja mamo, a w przyszłości to tylko jest prawdą, co rozum może wyrachować.

— Więcéj nic? zawołała matka podnosząc na nią oczy, z których łzy płynęły.

Zaledwie p. Salomea otworzyła usta, chcąc matce stanowczo odpowiedziéć, gdy powstał krzyk na dziedzińcu. Ludzie od bramy uciekali przestraszeni; za bramą zaś, na ulicy rozlegał się tentent straszliwy i hurkot rozpędzonego powozu. Matka i córka porwały się z miejsc swoich, wyjrzały w okno i obaczyły wpadającą na dziedziniec parę rozhukanych koni, które ciągnęły kocz otwarty. Rumaki były kare, okryte potem; dym buchał z ich nozdrzy rozognionych; piana bryzgała z pysków, które już nie czuły wędzidła. Uprząż była także ciemna, kocz podróżny takiegoż koloru, ale dyszel złamany odbiérał możność kierowania. Mimo to, stał w nim młody człowiek ze śmiałą postawą. Jedną ręką trzymał się lekko kozła, drugą ściągał cugle, które mu się co moment wyrywały. Jak łódka na falach, tak powóz bez dyszla rzucał się na prawo i na lewo. Młodzieniec jednak nie chwiał się bynajmniéj. Na twarzy jego pięknéj, ale nadzwyczajnie bladéj, nie widać było ani zmieszania, ani przestrachu. Czarne tylko i bujne włosy od wielkiego pędu rozwiewały się z wiatrem, a ciemne wąsy, zapięta pod szyję czarna suknia, odbijały jeszcze mocniéj marmurową bladość téj spokoj-

néj i wyrazistéj twarzy. Gdy przelatywał koło okna, w którém stały obie kobiéty, obrócił się nagle i p. Salomea ujrzała jego oczy, co jak dwa rozżarzone węgle ku niéj błysnęły. Przysiadła mimowolnie i dziwne zimno przeszło po całém jéj ciele. Ale była to tylko chwila, krótka jak błyskawica. Kocz poleciał daléj, rzucany na prawo i na lewo. Niosły go konie prosto ku owemu kościołkowi, o którym wspomnieliśmy wyżéj. Raptem, postrzegłszy taką przed sobą zaporę, zwróciły się na prawo. Tym gwałtownym obrotem powóz zatoczył się silnie, całym impetem uderzył się o wystawę kościołka, i rozleciał się w kawałki. Reszty, które się jeszcze trzymały, pociągnęły konie na drugi dziedziniec, zkąd im już wyjscie zamknięto, a ów młodzieniec wyrzucony pod powóz, został na miejscu bez zmysłów.

Krzyknęła matka, ale silniej, głębiéj, przenikliwiéj krzyknęła córka. Gdy się upamiętały, wybiegły obie i zaczęły wołać ratunku. Już na drugim dziedzińcu ludzie ujęli rozhukane konie. Stały one teraz przy sobie ciche, potulne, drzące jakby się téj swawoli i wyrządzonéj szkody wstydziły. Był tam właśnie major. Kazał je wziąć do stajni, i napatrzéć się nie mógł na te cudne stworzenia, których piękność przechodziła wszystko co dotąd widział: a był to stary kawalerzysta i wielki znawca.

Tymczasem trzeźwiono zemdlonego młodzieńca; opatrywano jego ręce i nogi, i chociaż nigdzie nie było śladów złamamia, napróżno jednak wszelkich używano sposobów, aby go przyprowadzić do przytomności. Leżał on na ziemi na wznak przy wschodach od kaplicy, o które się widać silnie uderzył. Matka krzątała się tam jak mogła, a córka stała z zaciśniętémi wargami, wpatrując się z wytężeniem w jego twarz bladą i piękną, i oczekując niecierpliwie aż się otworzą oczy, których chwilowe mignienie tak ją mocno przejęło. Otworzył je nareszcie, spojrzał prosto na p. Salomeę i znowu je zamknął, a pierś jego podniosła się ciężkiém odetchnieniem.

— Będzie żył, szepnęła jakby sama do siebie, a na twarz jéj wystąpił delikatny rumieniec, i znikł w téjże chwili.

Nadszedł i major, kazał go podnieść, i tak wpół przytomnego, otwierającego oczy i zamykającego je co moment, zaniesiono do pokoju. Nim przybył lekarz, za którym w téjże chwili posłano, ojciec, matka i doświadczeńsi słudzy starali się ocucić młodzieńca z tak nadzwyczajnego zemdlenia, do którego ciągle powracał. Przez cały ten czas p Salomea siedziała w témże samém oknie z założonémi rękami, z okiem wytężoném ku bramie wjazdowéj, nadstawiając ucha, czy się nie da słyszéć hurkot powozu. Nareszcie w półtory godziny po owém dziwném zdarzeniu zabrzęczały kółka i dzwonki krakowskich chomątów, bryczka wbiegła na dziedziniec i twarz panienki zakwitła jak róża na widok lekarza, który z niéj szybko wysiadał. Porwała się więc z miejsca, i tą razą nie zdając sobie bynajmniéj sprawy, dla czego serce jéj biło, dla czego twarz pałała, z szybkością łani wbiegła do sieni, i pochwyciwszy za rękę zdziwionego esknlapa, zawołała:

— Ach! mój drogi panie! chodź pan, chodź pan prędzej! To okropny wypadek!

Poszli więc. P. Salomea ukazała mu pokój, gdzie leżał chory i nie śmiała tam wejść sama, ale wpuściwszy lekarza, usiadła przy drzwiach. Tak czuwając na każde skinienie, przyspieszała skutek dawanych ztamtąd rozkazów.

Stan młodzieńca nie był zdesperowany. Uderzenie gwałtowne wprawiło go w te ciągłe mdłości, z których powoli powracać zaczynał, ale wzburzenie silne całego organizmu, przytém irrytacyja, któréj doznał i którą widać siłą woli pokonywał, gdy się konie zhukały i niosły go nie tam gdzie pragnął, były przyczyną mocnéj gorączki połączonéj z deliryją.

Użył lekarz stosownych środków, został przy chorym do wieczora, ale nakazał zupełną spokojność i zabronił wszelkiego wybadywania, wszelkiéj z nim rozmowy. Gdy wieczorem, już prawie o zmroku wyjeżdżał, uspokoił troskliwą panią S* i jéj męża, że jeżeli jutro nie rozwiną się symptomata jakiéj złéj gorączki, to chory za kilka dni przyjdzie do siebie i będzie mógł wychodzić z pokoju.

P. Salomea nie śmiała mu żadnych robić zapytań; słuchała tylko z największą uwagą, co mówił. Gdy po odjeździe medyka, rodzice siedzieli obok siebie i rozmawiali o tém szczególném zdarzeniu, ona chodziła ciągle po pokoju ze schyloną głową niespokojna i zamyślona. W uszach jéj tętnił bez przestanku bieg rozpędzonych koni, a imaginacyja przedstawiała żywo, z całą okropną prawdą to gwałtowne uderzenie, które zgruchotało powóz i wyrzuciło z niego śmiałego i pięknego młodzieńca. Wszakże i teraz nie przyszło jéj na myśl zapytać siebie, dla czego była niespokojna? dla czego o niczém inném myśléć, innego obrazu przedstawić sobie nie mogła? Zbliżyła się wreszcie noc głębsza, i rodzice urządziwszy pilny dozór nad chorym, udali się do spoczynku.

Położyła się p. Salomea, i długo, długo zasnąć nie mogła. A gdy nareszcie ciało wzięło górę nad myślą, i zamknęły się jéj powieki, sprawdziła się jéj teoryja snów, i znowu te same obrazy z niezbędnémi przydatkami i w dziwném zmieszaniu dręczyły pochwyconą tak znienacka argumentatorkę. Widziała ona te same kare konie niesione pędem wichru; ale już nie para, lecz płomienie buchały

z ich nozdrzy i otwartych pysków; widziała tego samego młodzieńca stojącego w powozie, kierując niemi podług woli; ale na ustach jego był jakiś szyderski uśmiech, a oczy błyszczały jakimś dziwnym ogniem. Widziała tenże powóz rozpędzony, ale z pod kół jego warkoczących przeraźliwie, sypały się potoki iskier, i przerzynały się jak błyskawica chmury dymu, który się za niemi podnosił. I wszystko to nie działo się na rodzicielskim dziedzińcu, ale gdzieś na dzikich bezdrożach, śród skał i nagich kamieni. Konie pędziły nie do owéj miłéj kapliczki, ale leciały prosto nad jakieś strome i straszne urwiska, nad przepaść, która dna nie miała. Przerażona tym ich kierunkiem, rzuciła się ku nim p. Salomea, i wtenczas znalazła się w powozie obok młodzieńca, który ją objął, uderzył lejcami po rozognionych rumakach, i razem z nią rzucił się w przepaść. Tak lecieli długo, zawsze na dół, na dół, bez końca; i nic nie było słychać w około, tylko świst gwałtownego ich pędu; nic nie było widać, tylko przestrzeń bez granic wpół jasną, wpół ciemną, bez światła, bez koloru. Zmęczona tym snem okropnym p. Salomea, z głuchym jękiem otwarła oczy, i obaczyła przed sobą matkę ze świécą, w jednéj koszuli, z twarzą przelękłą i bladą.

— Co to jest mamo? zapytała siadając i cisnąc serce dłonią. Czy on umarł?

— Kto? moje dziécię.

— Ale ten chory, rzekła spuszczając oczy. Miałam sen okropny.

— Nie kochaneczko! on usnął. Ale ty jęczałaś bardzo. Przestraszyłam się i przyszłam cię obaczyć. Co ci jest mój aniołku?

— Nic mamo, odpowiedziała zawstydzona, jakąś duszność czuję. Niech mama się położy, dodała całując matkę, ja pójdę trochę do okna, na świéżém powietrzu będzie mi lepiéj; tu strasznie gorąco.

— Odziej się przynajmniéj, i nie siedź długo.

— Nie mamo, tylko trochę się odświéżę.— Matka poszła do sypialnego pokoju P. Salomea narzuciwszy na siebie szlafroczek, wsunąwszy białe i śliczne nóżki w miękkie pantofelki, zrzuciwszy czépeczek z głowy i rozgarnąwszy gęste swe włosy na czole białém i zamyśloném, poszła do drugiego pokoju, otworzyła to samo okno, w którém siedziała rano, i patrzyła na świat piękny i szeroki. Niebo było błękitne i głębokie; księżyc płynął sobie spokojnie i w milczeniu, gwiazdy rzadko drgały gdzieniegdzie brylantowém światłem na tém polu bez granic. Ciepło było, świéżo, spokojnie w naturze całéj. Cichość zupełna była na ziemi, tylko lipy szumiały zlekka, tylko żabki w dalekim stawie przerywaną między sobą prowadziły rozmowę. Usiadła tam p. Salomea, podparła głowę na dłoni, patrzyła na ten uroczy widok, i widziała kare konie rozpędzone, bladą twarz młodzieńca i oczy jego ogniste ku niéj zwracające się. Dla czego nie widziała nieba, księżyca, gwiazd? dla czego nie słyszała szmeru lip tak blizkich, i nie zajęła się melancholicznym gwarem skrzeczących zdaleka żabek?— także tą razą nie zdawała sobie sprawy.

Na drugi dzień nowy pypadek powiększył jeszcze zamieszanie tego domu. Zaledwie major oczy otworzył, gdy mu dano znać, że owe cudowne rumaki, te karosze, które wczoraj tak admirował, za które byłby chętnie całą swą stajnię oddał: takiéj były rasy, tak piękne i dorodne, w nocy nie wiedzieć gdzie się podziały. Pobiegł major pędem do stajni, i obaczył tylko przy żłobie kawałki powrozów od uzdeczek gładko oderznięte. Szarpał uprzejmy gospodarz włosy na głowie, tak mu było żal koni, i tak mu było przykro, że w jego domu gość, niespodziéwany, gość nieszczęśliwy, który leżał bez przytomności, który utracił swoich ludzi niepojętym wypadkiem, którego powóz zdruzgotał się, jeszcze i tak dotkliwą stratę poniósł. Stajenni płakali, zaklinali się że żaden z nich do téj kradzieży nie wpływał, że nic nie słyszeli, tylko nad ranem straszne wycie psów na dworze i we wsi. Zaczęto szukać śladów, i znaleziono znaki kopyt końskich prowadzące do bramy, która jak zwykle dawniéj po wsiach naszych, nie była na klucz zamknięta. Rozesłał natychmiast major ludzi po wioskach okolicznych dla wyszukania dalszych śladów, a zastępcę wójta posłał do Krasnegostawu z uwiadomieniem o przypadku, który się w jego domu zdarzył, o przybyciu nieznajomego, o zaginieniu dwóch ludzi, z których jeden na polu gdzieś przepadł, a drugi na grobli jego, gwałtownem uderzeniem powozu wyrzucony z kozła, wpadł w wodę, utonął, i mimo największe natychmiast czynione poszukiwania, znalezionym nie był. Szczególniéj zaś prosił znajomego sobie dobrze p. naczelnika powiatu, aby w śledzeniu owych nieocenionych koni ścisłe zarządzić kazał poszukiwania. Wydawszy te dyspozycyje, wrócił smutny i zamyślony do pokoju z ciężkiém przeczuciem, że ten wypadek jest dopiéro początkiem, od którego zacznie się pasmo przykrych zdarzeń, które miały dom jego dotknąć.

Przybyły z powiatu urzędnik nic nowego nie odkrył. O ludziach żadnego nie znaleziono śladu. Przejeżdżający wieśniacy z drugiéj wsi, wówczas gdy konie unosiły powóz po zagonach, zeznali, że rzeczywiście widzieli rozpędzony kocz i dwoch ludzi na koźle; że jeden z nich nachylił się z kozła mocno, spadł pod konie i pod koła. Ale czy roztratowanym został czy nie, o tém wieśniacy nic nie umieli powiedzićć, gdyż to był powóz pański, a zatém nie czuli się w obowiązku niesienia mu pomocy, i pojechali sobie daléj poświstując. P. Salomea przytomna temu zeznaniu, zarumieniła się

cokolwiek, chociaż wieśniacy w rezonowaniu swojém na mocnéj opiérali się zasadzie. Ponowione przy urzędniku poszukiwania w stawie nie odkryły także trupa drugiego człowieka, którego właśnie, gdy wpadał do wody, widzieli ludzie przy młynie stojący, i którego kapelusz z széroką taśmą czarną, oznaczoną czarną stalową cyfrą W. B. złapali. O koniach słuch i ślad zupełnie przepadł.

Ponieważ chory z polecenia lekarza nie mógł być zapytywanym, gdyż gorączka nie ustawała, i ciężki ból głowy dręczył go gwałtownie; widział się przeto zmuszonym urzędnik kazać otworzyć jego walizę i szkatułkę z papiérami, przy uproszonych do tego świadkach. Pieniądze w wielkiéj liczbie oddane zostały za rewersem gospodarzowi domu do schowania, w papiérach zaś oprócz rozmaitych notat, wyciągów z różnych dzieł, o których ani nasz gospodarz ani p. nrzędnik nigdy nie słyszeli, a których ojciec nie chciał pokazać córce: oprócz kilkunastu książek po większéj części angielskich, nic nie znaleziono. Paszport był wydany w Wiédniu dnia 1 maja 1846 r. p. Władysławowi B* obywatelowi cyrkułu tarnowskiego, do królestwa i do Rosyi, wizowany przez posła naszego rezydującego w Austryi, a podpisywany z największą akuratnością na wszystkich urzędach celnych i na granicy naszéj. Nie miał więc p. urzędnik nic do nadmienienia, ale opieczętowawszy papiéry i paszport swoją pieczęcią, oddał gospodarzowi do schowania, prosząc aby dał znać p. naczelnikowi powiatu, gdy stan chorego poprawi się tak, że można będzie z nim samym się rozmówić.

— Idzie szczególniéj, rzekł wyjeżdżając, o tego drugiego człowieka, który nie wiedzieć gdzie się podział na czystém polu; co jest rzeczą cokolwiek nienaturalną.

— I o te konie, panie urzędniku, dodał gospodarz; wolałbym, żeby mi moich dziesięć skradziono.

Po téj wizycie, zwyczajny bieg rzeczy wrócił do domu p majora S*. Chory miał się coraz lepiéj, lekarz przyjeżdżał akuratnie i coraz bardziéj pocieszających udzielał zapewnień Pani S* z całą troskliwością dobréj gospodyni czuwała nad wypełnieniem wszystkich jego przepisów. Pan Władysław, chociaż nie wiedział jeszcze gdzie się znajduje, chociaż nie mógł wiele mówić, kilku słowami pełnémi znaczenia i ściśnieniem ręki dziękował zacnéj kobiécie za jéj czułość i starania. W ciągu tego czasu, sen okropny który tak udręczył p. Salomeę piérwszéj nocy po owym wypadku, powtórzył się raz jeszcze. Porwała się przelękniona i odziawszy się na predce, poszła do tego pokoju, który poprzedzał pokój młodzieńca. Siedziała tam klucznica posadzona dla straży przez panią S*, i chrapał służący dodany do usługi. P. Salomea uprosiła starą Urszulę, ażeby weszła do pokoju chorego i zobaczyła czy spi, i czy mu nie gorzéj. Uczyniła staruszka zadość prozbie panienki, otworzyła drzwi i poszła na palcach. P. Salomea stanęła przy drzwiach cokolwiek rozwartych, i z bijącém sercem, z półotwartémi ustami i wytężonym wzrokiem patrzyła na młodzieńca, który całą jéj myśl zapełnił, całą duszę ogarnął i opanował.

Łóżko jego stało naprzeciw pod ścianą, a lampa z prawéj strony na kominku płonąca, lekkie światło rzucała na twarz jego bladą i oczy zamknięte. Przystąpiła Urszula do łóżka; a choć krok jéj był lekki, chory jednak obudził się natychmiast. Ale nie spojrzał na starą kobiétę zbliżającą się do łóżka. Oczy jego zwróciły się prosto ku drzwiom i tamże wyciągnęły się ręce. Postrzegła p. Salomea ten sam blask w jego wejrzeniu, który ją uderzył i na wskróś przeniknął wówczas, gdy go piérwszy raz przelatującego przed jéj oknami ujrzała. Przestraszona, cofnęła się od drzwi, i usiadła drząc na krześle klucznicy. Wkrótce wyszła Urszula z pokoju, uspokoiła ją, że chory ma się lepiéj, i że spał smaczno. P. Salomea całą mocą swéj woli pokonawszy swe trwogi, udała spokojność i wróciła do siebie, ale zaledwie się położyła, łzy obfitym strumieniem puściły się z jéj oczu; pochwyciło ją potém spazmatyczne szlochanie, które biédna tłumiła w sobie jak mogła, okrywszy się z głową, aby nie zbudzić i nie zatrwożyć matki śpiącéj w przyległym pokoju.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Z e L w o w a: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład P i o t r a P i l l e r a) wyszedł nr. 25ty i zawiéra: 1) Leona hr. Rzewuskiego: Uwagi nad artykułem o dzierżawach w nre 23 Tygodnika rolniczo-przęmysłowego b. r. zamieszczonym. 2) O wyrobie dachówek polewanych we Lwowie w zakładzie fabrycznym nr. 13. 3) Lekarstwo na odsadnienie koni. 4) Strach na ptaki. 5) Chléb ze zrosłego zboża. 6) Chléb z białéj rzepy. 7) Smarowidło wodę nieprzepuszczające. 8) Co robić, by zające szczepów nieobgryzały? 9) Środek przeciw racicznéj i pyskowéj chorobie bydła rogatego. 10) Posadzka w angielskich końskich stajniach. 11) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 12) Uwiadomienia potoczne.

Témi dniami wyszło we L w o w i e drukiem P i o t r a P i l l e r a dzieło: *O machinach parowych*, podług pism angielskich i francuzkich, przez D o m i n i k a B i l i ń s k i e g o. Ważną zaletą téj pracy jest (jak się z przedmowy dowiadujemy), że autor dzieło swe zebrał i napisał podczas swego pobytu we Francyi, a zatém że na miejscu machiny parowe zbadał, i przy znajomości zasad mechaniki i fizyki, pracę swoję w języku rodowitym do użytku ziomków złożył. Część Isza zawiéra historyję machin parowych z dokładnym technicznym opisem tak początkowych aparatów jako-

też i dalszych coraz bardziéj wydoskonalonych machin parowych. Część II mieści naukę o własnościach pary i sposobach oznaczenia jéj siły. Nareszcie Część III daje nam obraz dzisiejszego stanu machin parowych, z poglądem na lokomotywy i statki parowe. Ważną naukę o kotłach parowych dołączył autor do téj części z całą gruntownością i ze znawstwem, jakie tylko zalecać mogą męża wykładającego przedmiot dobrze przez siebie pojęty. Także podany jest sposób wyrachowania wielkości roboty (skutku pożytecznego) jaką siła pary w machinie parowéj wydaje. Nareszcie gdy w całém tém dziele mowa jest o francuzkich miarach i wagach (dziesiętnych) nie omieszkał autor dołączyć tablice zamiany tychże miar na polzkie. Inne objaśniające tablice, tudzież litografowane (na siedmiu półarkuszach) narysy uzupełniają pracę autora (zajmującą 9 arkuszy druku), godną zalecenia wszystkim, którzy z tą w naszych czasach tak ważną rolę odgrywającą gałęzią techniki obeznać się zechcą. S. K.

Z Warszawy. Niedawno wyszła tu w polskim i francuzkim języku *Karta klimatologiczna Worszawy*, jako środkowego punktu Europy, przedstawiająca sposobem opisowym i rysunkowym obraz klimatu tego miejsca, co do długości dnia, ciepła, zimna, wilgoci, pogody i t. d. skréślona przez profesora Jastrzębowskiego według rachunku i dostrzeżeń meteorologicznych, czynionych w Warszawie blizko przez pół wieku p. K. Bystrzyckiego, astronoma król. i A. Magiera, członka b. towarzystwa przyjaciół nauk. Karta ta została rozesłaną do wszystkich głównych punktów na kuli ziemskiéj, począwszy od Petersburga aż do przylądku Dobréj nadziei, a od Filadelfii aż do Sydnéj w Nowéj Holandyi, gdzie się robią obserwacyje meteorologiczne dla porównania wskazanych na niéj wypadków z wypadkami tamtejszémi.

Ślub. Lipski »Dziennik mód« donosi z Drezna: »Niedawno odbyły się tu zaślubiny hrabiego Żółtowzkiego z hrabianką Zofiją Zamojską, które z wielu względów na uwagę zasługują. Obrzęd ślubny odprawił się w kościele niemieckim, przemowa kapłańzka była w języku polskim, a błogosławieństwo odmówiono po francuzku. Panna młoda pochodzi z jednego z najświetniejszych domów polskich, który też do najbogatszych w całéj Europie rodzin należy; ile że dobra ordynacyi Zamojskich są mniéj więcéj téj samej wielkości, co — całe królestwo Saskie.«

Ogień i woda. W dziełach Bakona — mówi Arago — czytamy: »Kilku kronikarzy utrzymuje, iż za czasów, kiedy Gwijena jeszcze do Anglików należała, mieszkańce okolic miasta Bordeaux podali do króla angielskiego prośbę, aby swoim poddanym w hrabstwach Sussex i Southhampton zakazał podpalać stepowe burzany przed końcem kwietnia, jak się to zwykle działo, ponieważ ztąd wiatr silny powstaje, który winnicom gwijeńskim wielce szkodzi.« Trudno powiedzieć, czy to twierdzenie istotnie było słuszném, ile że odległość między Bordeaux a hrabstwem Sussex powątpiewać o tém dozwala; ztemwszystkiém godną uwagi jest rzeczą, iż dzisiejsi badacze przyrody, wielkim ogniom niemniéj nadzwyczajne skutki, mianowicie na sprowadzanie deszczów, przyznawać zaczynają. Jakoż niedawnym czasem znany amerykański uczony Espy, polegając na mniemaniu, upowszechnioném pomiędzy mieszkańcami nowego świata od Kanady aż do Paraguay, uczynił wniosek, aby wczasie posuchy, za pomocą wielkich ogniów, sztuczne deszcze tworzyć. Na poparcie swego wniosku przytacza p. Espy zwyczaj Indyjan paraguajskich, którzy według doniesień misyjonarzów, podpalają szerokie miejscowe stepy, jeżli siejby ich posuchą są zagrożone, a nawet w ten sposób burze wywołują; następnie przywodzi p. Espy zdanie osadników w Luizyjanie, i wspomina o skutku, jaki od niepamiętnych czasów palenie się stepów w tém państwie, a palenie się lasów w Nowéj Szkocyi wywiera. W końcu mówi tenże uczony: »Zaręczano mię z wielu stron, że klimat miasta Manczestru, coraz znaczniejszéj zmiany doznaje, w miarę jak fabryczna przemysłowość tamtejsza się rozprzestrzenia. Odkąd to miasto niejako jednym ogromnym piecem się stało, codzień tam prawie deszcz pada.«

Handel pijawkami w W. księztwie Poznańskiém przynosi znaczne zyski. Trudnią się nim mianowicie mieszkańce miasteczka Rakowice, którzy nawet pod Hamburgiem stawy z pijawkami utrzymują. W zeszłym roku wywieźli Rakowiczanie z saméj Galicyi około 2 milijony 900 000 pijawek za 58 000 talarow, płacąc po 20 talarów od tysiąca. Ztąd rozesłano do Hamburga i Anglii 1 800.000 pijawek, biorąc w przecięciu po 48 do 50 talarów za tysiąc, a więc za 58 000 wydatku około 90,000 dochodu. — Atoli handlowi temu grozi wielkim uszczerbkiem nowy wynalazek, który może z czasem niemniejszą pozyska wziętość, jak eter siarkowy. Jestto sztuczna pijawka, jaką po wieloletnich, w Anglii, we Francyi i w Niemczech czynionych w téj mierze próbach, wynalazł wreszcie niemiecki mechanik Baumscheid z Pappelsdorf koło Bonn.

Wpływ kolei żelaznych na zdrowie. Jużto od dawniejszego czasu uważano, iż podróżowanie żelazną koleją skutecznie na zdrowie działa; otoż czytamy znowu w angielskich pismach czasowych zdanie sławnego lekarza londyńskiego Johnsona, który nadzwyczaj usilnie za jazdą kolejową przemawia. W szczególności zaleca on mieszkańcom Londynu, aby osłabiwszy się w lecie zgniłem powietrzem téj przeszło milijon ludności liczącéj stolicy, nie omieszkiwali orzeźwiać i pokrzepiać się wdéchaniem powietrza na kolejach żelaznych, ciągle świeżego i odradzającego się. Codzienna jazda żelazną koleją, choćby tylko kilkumilowa, jest według niego najlepszym środkiem, jaki hipochondrykom i rekonwalescentom zalecić można. Nawet przy najspokojniejszym czasie bywają powozy kolei żelaznych, oczywiście nie te, które zupełnie są zamknięte, w bardzo przyjemny, rzeźwiący sposób przewiewane, a przewiew ten wzmaga się przy lekkim wietrze do skuteczności burzy, przenikającéj i czyszczącéj wszelkie pory. Ani ocet ani chlor nie są w stanie uwolnić sukień tak dokładnie od wszelkich zarodów chorób, jak przewietrzenie ich podczas jazdy na kolei żelaznéj w otwartym powozie. Falisty ruch jazdy jest nietylko daleko zdrowszym od trzęsienia i szturkania zwykłych powozów, lecz należy go owszem przenosic nad samę jazdę na koniu, którą lekarze często słabowitym osobom doradzają. — Jedno z nadmienionych pism angielskich »*Travellers miscellany*« dodaje, że podróżowanie koleją żelazną wprowadza obieg krwi w należyty porządek, ułagadza nerwy, i po każdéj dziennéj jeździe zdrowy, pokrzepiający sen sprawia; przyczém jeszcze i to wspomnieć się godzi, że nastręczona tą jazdą zmiana i rozmaitość widoków, umysł rozwesela, i ze wszech miar dobroczynnie nań wpływa.

Ileż prawdy w tym żarcie? Jedno z pism

satyrycznych francuzkich wyraża się w następny sposób o trudności redagowania pism czasowych: »Nie masz nic trudniejszego jak wszystkim czytelnikom dogodzić. Uczeni wymagają wielkich nowych objawień, któreby świat i dotychczasowe systemata naukowe obalały; ludzie światowi chcą wiele nadętych pogadanek o niczem; młode kobiety i dziewczęta proszą o sentymentalne powieści i romansy; podlotki poetyczne i tkliwi marzyciele przy księżycu, wzdychają do strzelistych poezyj; próżniacy uganiają się za dowcipami, anegdotami i plotkami; dla jednych piszemy zbyt swobodnie, dla drugich zbyt łagodnie, dla paskwilantów zbyt lękliwie, dla modnisiów zbyt zastarzałym stylem.« — A też same skargi i też same smutne doświadczenia redaktorskie zdarzają się nie tylko w saméj Francyi.

Czarny brat królowéj Izabeli. Król Maryja z Golyna w Afryce napisał do swojéj »siostry«, królowéj hiszpańskiéj, list, w którym wynurza jéj swoje zamiłowanie dla niéj i dla wszystkich Hiszpanów, i oświadcza, że im w swoich państwach bawić pozwala. Przy téj sposobności prosi też król Maryja królowę Izabelę o trójkątny kapelusz z czerwoném piórem, o frak z długiemi połami, laskę z dużą gałką i o parę czerwonych pantalonów ze złotémi galonami. Królowa posłała wszystko, czego jéj czarny »brat« zażądał, a nadto załączyła jeszcze szkarłatny płaszcz ze złotym łańcuchem na szyję.

Charakterystyka gminu. Francuzki pisarz Méry charakteryzuje miejski gmin, który w każdym klimacie, w każdym kraju, inną barwę przybiéra, następującémi trafnémi słowy: W Londynie gmin ten zięwa, w Neapolu spi, w Rzymie modli się, w Livornie kupczy, w Madrycie pali fajkę, w Dublinie żebrze, w Edymburgu marzy, w Marsylii śpiewa, w Genui śmieje się, w Tulonie wiesłuje, w Paryżu gawędzi, w Lima poci się, a w Petersburgu dzwoni zębami od zimna.

Wykonawcami wyroków śmierci w najdawniejszych czasach bywali kapłani, a późniéj aż do naszych czasów, najmłodsi sędziowie albo ławnicy, tudzież inne osoby, jakoto: oskarzyciele, krewni i przyjaciele. Sami nawet książęta i biskupi nie mierzili się tém rzemiosłem, lecz własnoręcznie do wykonania onego dopomagali. Jeszcze do r. 1519 mieli burmistrze i rajcy miasta Wormacyi zwyczaj trzymać katowi drabinę i koło, a w dawniejszych czasiech biskupowi stryczek podawali. Prawnik niemiecki, Cammerarius, opowiada: W niektórych miejscach wschodniéj Frankonii, a mianowicie we wsi, należącej do hrabi Konrada Kastel, zachowuje się starodawny zwyczaj, mocą którego w razie schwytania złodzieja, który w téj wsi coś ukradł, i na śmierć był skazany, najmłodszy nowożeniec tamtejszy obowiązanym jest zarzucić mu stryczek na szyję, poczém za danym przezeń znakiem wszyscy mężczyźni i wójci złodzieja na drzewie wieszają.« W Rentlingen przechowywano jeszcze około r. 1630 starożytny miecz zerdzewiały, którym niegdyś najmłodszy radnik złoczyńców tracił, co za rzecz honorową uważano.— W Szczecinie musiał się ten obowiązku tracenia podejmować, kto się najpóźniéj w kraju osiedlił.

Olbrzymi krajobraz. Pewien młody Amerykanin nazwiskiem Banvard ukończył osobliwszy obraz, który teraz publicznie w Ameryce pokazuje, a nawet do Europy przywieźć zamierza. Przedstawia ten obraz całą rzékę Mississipi z jéj okolicami. Płótno, na którém jest malowany, ma 3 angielskie mile długości! Zwija ono się na walcu, i bywa zwolna przed widzami rozwijane.— Przy téj sposobności nie bedzie może od rzeczy wspomnieć o olbrzymiém przedsięwzięciu Amerykanów: zawiązało się bowiem towarzystwo z kapitałem 200.000 dolarów, które ma wystawić wiszący most nad sławnym wodospadem Niagary. Roboty już rozpoczęto.

Wybieg przemysłowy. »*Chavivari*« donosi: Od kilku dni już podziwiają Paryżanie nadzwyczajnie piękny powóz, który z przepysznym dwukonnym zaprzęgiem po ulicach miasta się uwija, a do którego należący woźnica i lokaj mają świetną liberyję i pudrowane włosy. Powóz ten nie należy ani do posła, ani do księżnéj, ani do bankiera, ani do bogatego giełdzisty; — rozwożą nim pomiędzy komisantów nowo wynaleziony szwarc angielski pana Kleewshill. Oczywiście wyrobowi temu przyznano już dziś pierwszeństwo przed wszystkiémi tego rodzaju wynalazkami, a tak, przemysłowy ten wybieg wkrótce sowicie się wypłaci. Świat, jak się zdaje, koniecznie chce być oszukiwanym!

Dwie ostateczności—bogactwo i skąpstwo. Najmożniejszymi posiadaczami ziemskimi w całéj Francyi byli hrabia Roy i pan d'Aligre, którzy obaj z niesłychanego skąpstwa słynęli, i obaj też wkrótce po sobie ze świata zeszli. Gdy hrabia niedawno umarł, miał pan d'Aligre żałośnie narzekać: »Otoż przegrałem! Teraz muszę chcąc niechcąc, więcéj niż on wydawać!« I to właśnie do grobu go wtrąciło. Umiérając zostawił osobliwszy testament; najprzód rozporządza, aby przy jego pogrzebie ani na szeląg niepotrzebnego wydatku nie czyniono; swojéj jedynaczce córce, pani de Pommerenx tyle tylko zapisał, ile według prawa koniecznie zapisać musiał, przeciwnie śpiewaczce wielkiéj opery, pani Falcon, przeznaczył 30.000 franków, »ponieważ miał tę przyjemność słyszeć ją raz śpiéwającą!« Innéj artystce, pannie Robert, tancerce, zapisał 100,000 franków »w nagrodę jéj cnoty.« Po tych głównych »nagrodach cnoty« obdarzył on zpół tuzina wcale podejrzanych o cnotę osób, małoco mniejszémi legatami. — Zamki jego mają być rozebrane, a materyjał budowniczy, rozdanym pomiędzy członków gminy. Słowem, naturalni jego spadkobiercy są w rozpaczy, mając tyle spółdziedziców zaspokajać. — O oszczędności pana d'Aligre opowiada E. Guinot: »Jednego razu darował nieboszczyk swemu kamerdynerowi stary, wytarty kapelusz, w jakimby zapewne nikt już nie chodził. Wkrótce potém ujrzał milijonowy skąpiec kamerdynera w niezłym kapeluszu, i zawiszcząc mu, zapytał, zkąd go ma? — »Jestto kapelusz, któryś mi pan darował, a który sobie u kapelusznika za 20 *sous* tak odnowić kazałem.«— »Proszę!« zawołał skąpiec, założył sobie kapelusz na głowę, i rzekł: »Szkoda go jeszcze dla ciebie; dając ci go, pomyliłem się; oto masz 20 *sous*; jeszcze go sam nosić będę.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera. (Dod. nadz.)